

Biuletyn

pod Progowy

październik/listopad 2011

JAZZ ROCK

POL-JAZZ-ROCK

**NIEMCY:
JAZZ-ROCK Z
NADREŃSKIEGO
KRAJU**

Wywiad

Dikanda

Sylwetki

Weather Report

Guy Manning

Airbag

Recenzje

Mastodon, Władysław Komendarek,
Steven Wilson, Pain Of Salvation,
Arch/Matheos, Closterkeller...

Felieton

Chick Corea i jego powrót
do banalności

Płyty nieprzesłuchane

**I DECIDED TO GO ELECTRIC
ALL THE WAY**

*Milesa Davisa
szturm na lata 70.*

MANNING

bajki dla dużych dzieci

Na płyty pewnych artystów (zwłaszcza tych z długim scenicznym stażem) czeka się latami, a i tak nieraz to, co dostajemy, nijak swoim poziomem nie przystaje do dokonań dawniejszych. Bo w zespole zaczęły się tarcia, bo trzeba iść z duchem czasu, bo ktoś przeszedł duchową przemianę, otworzył się na nowe brzmienia, bo zupa w stołówce studia była za słona... Rozwój to cnota – o ile przynosi wymierne rezultaty. Bo równie dobrze można z żelazną konsekwencją kultywować styl, w którym czujemy się komfortowo i dostarczać fanom płyty może i przewidywalne, ale za to takie, jakie na pewno polubią. Wiem, że pachnie to złotą zasadą inżyniera Mamonia, ale sami powiedzcie – czy nie macie jakiegoś ulubionego wykonawcy, od którego oczekujecie wciąż tego samego? Wiedziałem! Ja też mam. Ot, choćby Guya Manninga. Człowieka, który swoją muzyczną formułę zdefiniował w 1999 roku albumem *Tall Stories For Small Children* i od tego czasu powiela ją na kolejnych wydawanych rok po roku krążkach. Krążkach, które wciąż wypełniają tętnące świeżością dźwięki.

Solowy debiut pochodzącego z Leeds multiinstrumentalisty nastąpił dość późno – Guy miał wtedy 42 lata. Ale też były to lata wypełnione najlepszą dla rockowego muzyka szkołą – graniem w lokalnych składach, poznawaniem ludzi, z którymi potem porywał się na coraz śmielsze projekty. Bo i zaczął z wysokiego C. Jeszcze w szkole sformował trochę na zasadzie łapanek kapelę (część członków grała w szkolnej orkiestrze!), z którą zamierzał grać kilkudziesięciminutowe art rockowe suites. Plan spalił na panewce, ale miłość do długich form pozostała. Kolejnymi projektami,

z którymi Guy zdobył pierwsze koncertowe szlify, były działające w Leeds na początku lat 80tych Let's Eat i Bailey's Return. Do ulubionego art. rocka powrócił w 1987 roku w zespole Through The Looking Glass, łączącym progres ze scenicznym teatrem grozy inspirowanym koncertami Alice'a Coopera. Wewnętrzne tarcia spowodowały szybki rozpad zespołu jeszcze przed dokonaniem profesjonalnych nagrań. Nie był to jednak okres zmarnowany. Część repertuaru skomponowana przez Guya pojawiła się na jego debiutanckim albumie. Poza tym w Through The Looking Glass nawiązał współpracę z keyboardzistką Julie King (przez krótki okres kontynuowali zresztą wspólne muzykowanie pod szyldem King's Glass), która nieraz jeszcze miała się pojawić na albumach artysty.

Zespół o dziwacznej nazwie Gold Frankincense & Disk Drive okazał się początkiem ważnej dla Guya współpracy z keyboardzistą Andy Tillisonem. Płyty nie wydali, ale przez moment mieli na pokładzie drugiego klawiszowca i to nie było jakiegoś – znanego z Van Der Graaf Generator Hugh Bantona. Zresztą nazwa tej klasycznej formacji nie raz jeszcze pojawiała się w kontekście późniejszych artystycznych dokonań Tillisona – także tych z Guyem w składzie. Tillison i Manning sformowali wkrótce nowy zespół Parallel Or 90 Degrees. Ich pierwszym dokonaniem była rozsyłana na zamówienie kasetka (gdzie te czasy?) *No More Travelling Chess* z mieszanką coverów Petera Hammilla i repertuaru autorskiego. Taśma spotkała się z zainteresowaniem Malcolma Parkera, szefa wytwórni Cyclops Records. Jej wydana w 2001 roku reedycja na CD pozostaje jedyną płytą Parallel naganą z udziałem Guya, bo nasz bohater, który, korzystając z okazji, dał też Parkerowi własne nagrania demo, dostał zielone światło na nagranie albumu i postanowił pójść na swoje.

Tall Stories For Small Children

W reedycji *Tall Stories For Small Children* (1999) Guy wspomina: *Pierwsza płyta powinna zwiierać to, co najlepsze z całego materiału, jaki ubierał ci się przez lata. Czulem, że mam dobrze zbalansowany zestaw piosenek, ale Malcolm Parker, chciał więcej rzeczy epickich. Tak więc część utworów pierwotnie planowanych na album wypadła, a weszły inne, nad którymi właśnie pracowałem. (...) Wciąż jestem dumny z tego, co osiągnęliśmy w 1999 roku, gdy nagrywanie w domach wciąż stało na dość prymitywnym szczeblu rozwoju. I faktycznie, Tall Stories... może się podobać. Dzięki wyraźnym liniom melodycznym, zaangażowaniu wokalnemu Guya, przeplataniu fragmentów elektrycznych z akustycznymi. Ale też – z perspektywy jego późniejszych płyt – jest stosunkowo uboga brzmieniowo. Wszystkie charakterystyczne dla brzmienia Manninga ornamenty: skrzypce, flet, saksofon – przysły dopiero później. Tall Stories... była zbiorem trzech kilkunastominutowych suit i utworów krótszych.*

Guy lubi własne przemyślenia wkładać w usta wymyślonych przez siebie bohaterów, każe im przeżywać rozmaite perypetie. Jest kimś w rodzaju współczesnego bajora.

Akcenty horrorystyczne z czasów pechowego *Through The Looking Glass* najwyraźniej dają się słyszeć na początku *The Last Psalm*, gdzie wyłaniający się z posępnego, klawiszowego tła standard *Somewhere Over The Rainbow* (znany z filmu *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*) sprawia naprawdę upiorne wrażenie. Na wyróżnienie zasługuje epicka *The Rise And Fall Of Abel Mann*. Nie dlatego, żeby jakoś szczególnie wybijał się ponad resz-



tę materiału. Opisana w nim historia samobójcy stanowiła za to punkt wyjścia do snucia dalszej opowieści, która posłużyła za kanwę jednego z najlepszych albumów Manninga *A Matter Of Life And Death*. Na *Tall Stories...* Manning objawił się jako tekściarz, lubujący się w fabulach. Stojący na krawędzi dachu *Abel Mann*, żołnierz modlący się w okopie w *The Last Psalm* – Guy lubi własne przemyślenia wkładać w usta wymyślonych przez siebie bohaterów, każe im przeżywać rozmaite perypetie. Jest kimś w rodzaju współczesnego bajora.

The Cure

Już na wydanym rok później *The Cure* Guy wzbogacił skład zespołu o skrzypce Iaina Fairbairna i saksofon Laury Fowles, z którymi nawiązał wieloletnią współpracę. Ukonstytuowało się charakterystyczne brzmienie. Na *Tall Stories...* instrumenty pełniły niejako służebną rolę wobec snutej przez wokalistę opowieści. Tu ciężar został przesunięty nieco bardziej na sidemanów, szczególnie Laurę Fowles, która podobnie jak pryncypał musiała się sporo nasłuchać *Van Der Graaf Generator*, co słycała zwłaszcza w suicie *Falling*.

Cascade

Pewną zmianę formuły przyniósł album *Cascade* (2001). Tym razem obyło się bez trwających ponad kwadrans kompozycji. Album wypełniły

formy krótsze, piosenkowe. Nic w tym złego, taki płodozmian jest nawet wskazany. Gorzej, że w typowej już dla Guya miksturze progresu i folku gdzieś zagubiła się tym razem jego główna siła – wspaniałe melodie. Te z *Cascade* owszem, były przyjemne, ale jednak nie porywające. Na tle poprzednich dwóch wydawnictw płyta była obniżeniem lotów. Manning jednak kilkakrotnie jeszcze nagrywał wyłącznie piosenkowe albumy. Z lepszym skutkiem.

The Ragged Curtain

Zdecydowanie bardziej skomplikowanym dziełem okazało się *The Ragged Curtain* (2002), zwłaszcza wieńcząca całość dwudziestopięciminutowa suita, łącząca w sobie wszystko, czym Manning nasiąkł w młodości: hard rock, folk, jazz (znów nieoceniona Laura Fowles!), rock symfoniczny. W krótszej formie *Where Do All Madmen Go?* pojawił się natomiast rytm reggae – tego u Guya jeszcze nie słyszeliśmy. *The Ragged Curtain*, jak na standardy Manninga, jest płytą dość trudną w odbiorze, wymagającą nieco więcej przysłuchań, by w pełni ją docenić.

View From My Window

Nagranie kolejnego solowego albumu w 2003 roku było krokiem jak najbardziej spodziewanym. *View From My Window* okazał się dziełem bardzo wyciszonym, nastrój większości utworów lepiej korespondował z widokiem skąpanego w deszczu Nowego Jorku w środku bookletu niż z arabeskami z okładki. W *Blue Girl* i dwudziestominutowym *Suite: Dreams* pojawiły się wręcz akcenty smoothjazzowe, jak ze starej dobrej szkoły Matt Bianco czy Sade. Orientalizmy w utworze tytułowym były uprawnione tym bardziej, że był on protest songiem przeciw wojnie w Iraku. Nie można jednak nie wspomnieć o otwierającym całość *Phase* – jedynym żwawszym w tym zestawie utworze. Szybkim, zaraźliwie melodyjnym, ka-

pitalnym – energią tej jednej kompozycji można było spokojnie obdzielić resztę płyty. Dodajmy – nie jedynej płyty, pod jaką Manning podpisał się w 2003 roku. Andy Tillison nie zapomniał o dawnym kompanie – nieraz pojawiał się na jego wydawnictwach, a po zawieszeniu działalności *Parallel Or 90 Degrees* zaprosił go do nowo formowanej grupy. Ba! Supergrupy! Jak inaczej nazwać zespół, w którym na klawiszach gra Tillison, na saksofonie David Jackson, za akustyczne inkrustacje wszelkiej maści odpowiada Manning, a reszta instrumentalistów wywodzi się z *Flower Kings*? Wraz z albumem *The Music That Died Alone* narodziło się *The Tangent* – jedna z najważniejszych współczesnych kapel progresywnych (choć niektórzy wolą określenie retro-progowych, niech im będzie) i trwa z powodzeniem do dziś.

A Matter Of Life And Death (The Journal Of Abel Mann)

Po wygaśnięciu kontraktu z *Cyclops Manning* dostał się pod skrzydła amerykańskiej *ProgRock Records*. Angaż w większej wytwórni przełożył się na możliwość współpracy ze znakomitym grafikiem Edem Unitsky'm, którego bajkowe, pastelowe obrazy idealnie pasowały charakterem do twórczości Guya. Trzy nagrane dla *ProgRock* albumy cechowały się wyjątkowo bogatą oprawą. Zresztą, jeśli kooperację z Unitsky'm zaczynało się od concept albumu o całym ludzkim życiu – było co ilustrować. Wspomniana już płyta *A Matter Of Life And Death (The Journal Of Abel Mann)*

Mann) wyjaśniała, co popchnęło do desperackiego kroku samobójcę z suity umieszczonej na pierwszej, wydanej przed laty płycie i opisywała jego dalsze losy. Tym razem Manning postawił na formy krótkie, choć przecież w swoim duchu – bogate i wielowątkowe. Najlepsze zostawił na koniec. Wyciszona ballada *Out Of My Life* i radosny, wręcz rock'n rollowy finał *Midnight Sail* to prawdziwe perełki.

One Small Step

Album *One Small Step*, a przynajmniej jego tytułowa ogromniasta suita, stanowił lekki stylistyczny skok w bok. Manning nigdy nie stronił od folkowych inspiracji, tym razem postanowił wprost nawiązać do twórczości artystów w rodzaju Ala Stewarta czy Roya Harpera i nagrać długi utwór, który wykonać można by było tylko przy pomocy gitary akustycznej, rolę reszty zespołu ograniczając do doraźnego akompaniamentu w tle. Wyszło na pewno inaczej niż zwykle – urokliwie, choć może miejscami ciut monotennie. Nawet gra na flecie znakomitego gościa, Martina Orforda, zaznaczona była tylko symbolicznie. Znakomicie sprawdziły się za to utwory krótsze. Takie *Night Voices* ma wszelkie walory przebojowej folkowej piosenki i jest zdaniem niżej podpisanego najlepszym w ogóle piosenkowym drobiazgiem, jaki Guy popełnił. In *Swingtime* rzeczywiście świetnie swingowało, także dzięki saksofonowi Laury. Warto też wspomnieć *No Hiding Place* – z uwagi na tekst dotyczący masakry w szkole w Bieslanie.

Anser's Tree

Kolejnym concept albumem okazał się *Anser's Tree* – opiewający przodków doktora Jonathana Ansera urodzonego w... 2089 roku i mieszkającego w Szkocji – na jednym z ostatnich niezatopionych wskutek efektu cieplarnianego skrawków ładu. Płyta była porcją sympatycznych, krótkich kawałków, niestety z nieco rozmytymi melodiami. Aranżacyjną ciekawostką był na pewno utwór *Dr Jonathan Anser* – powolny, posepny, oparty na jednostajnej grze klawiszy. Jako całość płyta była jednak spadkiem formy. *Anser's Tree* było też zarzewiem krótkotrwałego konfliktu Manninga z jednym z czołowych polskich dziennikarzy, zajmujących się rockiem progresywnym. Zdetonowany cierpkimi słowami recenzenta Guy poprosił uprzejmie, by ten już nigdy nie oceniał jego płyt. No cóż, nawet jako zaprzysięgły fan Manninga będę tu bronił kolegi po piórze. Oceniał uczciwie, napisał to, co myślał. Taka jego rola. Na szczęście panowie nadal pozostają w dobrych stosunkach, może dzięki wyjątkowo ciepłej opinii tego samego dziennikarza o następnej płycie Manninga, wydanej po przeprowadzce do brytyjskiego Festival Music *Songs From The Bilston House*. I słusznie, bo to kapitalny album! Tym razem nasz bohater nie siłił się na suity, serwując zestaw utworów krótkich, choć rozbudowanych formalnie (czego najlepszym przykładem jest ozdobione solówkami gitary, saksofonu, skrzypiec i fletu *Lost In Play*). Piosenki tchnęły folkową aurą, były świeże i jak zwykle bardzo melodyjne. Ta sielankowa atmosfera kłóciła się trochę z warstwą tekstową, opowiadającą o nawiedzonym domu. Autentycznym. Latem 2006go roku Manning grał koncert na festiwalu Summer's End w angielskim Bilston. Spędził tam kilka dni i miał okazję zwiedzić okolicę. Tuż za miastem stał okazały, szczerlnie zabity deskami dom z niepokojącym napisem na drzwiach: *Nie wchodzić! Ostatni, który wszedł – zginął!* Nie wiadomo, czy chodzi o duchy, czy o budowlane brakoróbstwo – grunt, że wyobraźnia artysty została zapłodniona, dając szereg historii, które mogły wydarzyć się w tajemniczej posiadłości. *Songs From The Bilston House* zostało zauważone przez branżę – było nominowane do tytułu najlepszego albumu 2007 roku Classic Rock Society, co w praktyce oznacza, że Guy zyskał pewną markę w kręgach brytyjskiego progresu – do tej bowiem dziedziny w praktyce ograniczają się zainteresowania CRS.

Number Ten

Jako że apetyt rośnie w miarę jedzenia, włodarze Festival Music postanowili przynajmniej powtórzyć sukces poprzedniego krążka. Gotowy do

publikacji pod koniec 2008. roku album *Number Ten* (okładka przedstawiała drzwi na Downing Street pod wiadomym numerem) przeleżał na półce kilka miesięcy, by, ukazując się na początku następnego roku, lepiej wryć się w pamięć słuchaczy i mieć większe szanse w rocznych podsumowaniach. Przesunięcie premiery na luty 2009. nie przełożyło się na powodzenie *Number Ten* w rankingach, ale nie może być mowy o artystycznej porażce. Rześko swingujące *Bloody Holiday*, delikatna ballada *An Ordinary Day*, pełna zaskoczeń suita *A House On The Hill* – to tylko kilka fragmentów bardzo udanej całości. Zresztą przy okazji promocji *Number Ten* Manning został zaproszony na prestiżowy festiwal ROS-fest w amerykańskim Gettysburgu – już to wyróżnienie mogło świadczyć o poważaniu w progresywnym światku. Świadom swojej rosnącej popularności Guy 1 maja 2010. ostatecznie zakończył współpracę z The Tangent. W ciągu siedmiu lat współpracy nagrał z formacją Tillisona pięć płyt studyjnych, dwie koncertówki i DVD, równoległe prowadząc karierę solową. Imponujący wynik!

Niestety, *Number Ten* była ostatnią płytą ngraną w składzie z Laurą Fowles. Na kolejnym albumie *Charlestown* (2010) pojawiła się nowa saksofonistka, Alison Diamond. Muzycznie było dość typowo. Potężna trzydziestopięciominutowa suita, opowiadająca o miotanym sztormem statku (z tekstu nie wynika, czy bosman zapiął płaszcz i zaklął), w której folk walczy o lepsze z blues rockowymi gitarami. Plus kilka drobiazków jak rozpędzony *A Man In The Mirror* czy delikatna *Caliban And Ariel*, oparta na motywach Szekspirowskiej *Burzy*.

Mannig jawi się natomiast jako przewidywalny serial z regularnie nadawanymi kolejnymi odcinkami, które niezmiennie cieszą widownię. O Guyu można powiedzieć wiele oprócz tego, że jest nowoczesny. Wszystkie rozwiązania, jakie stosuje, wynaleziono już w latach siedemdziesiątych.

Margaret's Children

6.11.2011r. będzie miała miejsce premiera nowego krążka Manninga – *Margaret's Children*, w warstwie fabularnej stanowiącego sequel *Anser's Tree*. Guy zawsze chciał powrócić do tej sagi, zwłaszcza, że miał już punkt wyjścia. Kiedy album ukazywał się w 2006 roku, autor wspólnie z Edem Unitskym opracowali szczegółowy plakat drzewa genealogicznego Jonathana Ansera, dodawany do płyt zamawianych drogą internetową. Figurowało na nim tyle nie umieszczonych na albumie postaci, że kontynuacja była kwestią czasu. Kiedy piszę te słowa, znany jest tylko jeden utwór z nadchodzącego albumu – *Flemming Barras 1645-???* (*The Year Of Wonders*). W szybkim tempie, z wyeksponowanym Hammondem, ale też jak najbardziej Jethrotullową wstawką fletu. Od początku do końca rozpoznawalny jest styl Manninga, i to będącego w dobrej formie. Haczyk został zarzucony – na pewno sięgnę po całość. Jak rozwinie się historia rodu Anserów? Nie mam pojęcia. Sam Mannig jawi się natomiast jako przewidywalny serial z regularnie nadawanymi kolejnymi odcinkami, które niezmiennie cieszą widownię. O Guyu można powiedzieć wiele oprócz tego, że jest nowoczesny. Wszystkie rozwiązania, jakie stosuje, wynaleziono już w latach siedemdziesiątych. Tym niemniej do zapoznania się z jego muzyką zachęcam wszystkich – także tych zapatrzonych w technologiczne nowinki serwowane przez Stevena Wilsona, Bruce'a Soorda czy Giancarlo Erre. Istnieje całkiem spora szansa, że coś z twórczości Manninga przypadnie Wam do gustu. Może nie cała dyskografia, może jeden album, a może po prostu pojedyncza piosenka. Akustyczny drobiazg albo rozbudowany epik. Dwanaście albumów na koncie – jest z czego wybierać!

Paweł Tryba